

Jeszcze Polska... w Madison Square Garden

Krzysztof Kraśnicki



Występ w nowojorskiej Madison Square Garden, u zbiegu Madison Avenue i 26th Street, był dla każdego sportowca najwyższym wyróżnieniem.

Tu, przy wielotysięcznej widowni, odbywały się słynne pojedynki pięściarskie o światowy championat. I w tej legendarnej manhattańskiej hali w 1926 roku honoru polskiej tradycji kawaleryjskiej bronili jeźdźcy - pierwszy polski zespół reprezentacyjny na amerykańskiej ziemi.

Nasi zawodnicy, oficerowie armii Rzeczypospolitej, nie należeli w tej dyscyplinie do statystów. Rotmistrz Adam Królikiewicz zdobył przed dwoma laty w Paryżu brązowy medal olimpijski (jako drugi dla polskich barw - w historii polskiego sportu), międzynarodowymi osiągnięciami mogli pochwalić się zarówno major Michał Toczek, jak i porucznik Szosland. Ale zawody w Nowym Jorku były zupełnie odmienne. Impreza miała odbyć się w zamkniętym obiekcie pod dachem, w nieznanym naszym jeźdźcom warunkach. W dodatku polskie konie, w odróżnieniu od pięknych i cennych okazów kanadyjskich i amerykańskich, nie należały do wysokiej klasy. Niemłody Jacek został przed laty kupiony od Amerykanów, miał już za sobą ciężką służbę na froncie wojny bolszewickiej.

To wszystko sprawiało, iż nasz najlepszy kawalerzysta Królikiewicz nie był najlepszym myśli:

Jedziemy do Ameryki jedynie dla celów propagandowych. Konkursy hippiczne w Ameryce nie mają wiele wspólnego ze sportem konnym, takim, jakim my go rozumiemy. Oni przenoszą wszystkie sporty do hal i robią z nich cyrk. My jesteśmy przyzwyczajeni do jazdy na otwartym terenie, do naturalnych przeszkód, do zawodów o charakterze sportowym i wojskowym. Amerykański cyrk wcale nas nie nęci. Jedziemy tam, podkreślam to, wyłącznie dla propagandy. Niezbyt pewnie czuję się również z powodu koni. Na zawody przewidziałem Unigena i Jacka. Chciałem sprowadzić z Grudziądza Rowcliffa, na

którym wygrałem konkurs o nagrodę p. Prezydenta; niestety w wagonie został przez innego konia tak dotkliwie kopnięty, że jest na dłuższy czas wyłączony z rywalizacji. Unigeno to koń znakomity, ale zmanierowany; wspaniale bierze wysokie przeszkody, jednak jako koń konkursowy jest niepewny. Skacząc na rekordy wysokości, zazwyczaj lekceważy małe przeszkody i haniebnie je zrzuca. Jacek to koń dziki, będzie się w Ameryce podobał, ale korzysta z każdej okazji, by wyrwać się jeźdźcowi i go ponieść.

Przyznacie, że w takim nastroju trudno marzyć o zwycięstwie.

Już sama podróż była nie lada wyczynem i bez wątpienia musiała odbić się na kondycji jeźdźców i koni. Tylko z Warszawy do Zbąszynia pociąg jechał 18 godzin. Stamtąd przez Berlin, Aachen i Brukselę do Antwerpii - kolejne 50. A z Antwerpii do Nowego Jorku statek płynął 9 dni.

Na miejscu pierwszym celem ekipy było obejrzenie miejsca zawodów, sposób ustawienia przeszkód. Jak wyglądał parcours? Pierwsza przeszkoda to płot polowy - stacionate; następnie trzy - liczące się jako jedna całość - oddalone od siebie w odległości 9 kroków. Każda z nich składa się z zawieszonych nad ziemią drążków - jeden nad drugim. Po nich, na zakręcie wysoki, u szczytu cienki mur, za nim zielony żywo płot, potem kolejna stacionate. Dalej szeroki „triplebarre” tj. przeszkoda złożona z trzech drążków pochyło zawieszonych jeden nad drugim, wreszcie bielony parkan i ostatnia bramka. Na każdej z przeszkód, oprócz „stazionaty”, trzy cienkie, centymetrowej grubości listewki połączone w jedną całość. Są to tzw. taktety, które za najlżejszym dotknięciem, a nawet silniejszym powiewem powietrza spadają - dając pół punktu karnego.

Każda przeszkoda ma z boku zagrody uniemożliwiający koniowi ominięcie przeszkody. Ich wysokość wynosi 140 cm. Na przebycie całego parcoursu przeznaczono dwie minuty.

Po tygodniu pobytu w Nowym Jorku nadszedł czas zawodów. W hali daje się zauważyć wielki chaos, improwizacja; brak szczegółowego programu występów, kolejności startu zawodników. Nie wiadomo, kiedy kto ma wjechać, osiodłać konie, kiedy siebie i wierzchowca przygotować do startu. Przy wjeździe nieprawdopodobny tłok.

Już podczas pierwszego dnia zawodów dużą klasę pokazał porucznik Szosland na Redgledcie. Prowadził konia pewnie, szybko i bezbłędnie. Zdobył pierwszą nagrodę. Drugiego dnia dla koni wagi średniej spośród 26 zapisanych do konkursu zawodników jedynie Polacy: Królikiewicz na Jacku i Toczek na Faworycie czysto pokonali parcours. Wydawało się, że i tym razem będzie zwycięstwo, ale sędziowie bez podania przyczyny unieważnili konkurs. Nic więc dziwnego, że nasi jeźdźcy byli poirytowani w najwyższym stopniu.

Tego dnia wieczorem odbyła się jeszcze jedna konkurencja - dla 62 koni wojskowych. I tu zabłysnął major Toczek, zajmując trzecią lokatę. Trzeciego dnia ponownie polski mundur w otwartym konkursie pojawił się na podium; major Toczek zdobył na Hamlecie drugą nagrodę.

Nadszedł dzień najważniejszy; bój o „The International Military Trophy” - Puchar Narodów, marzenie każdej wojskowej ekipy. Tego dnia, 25 listopada, Amerykanie obchodzą Święto Dziękczynienia - bilety wykupiono do ostatniego miejsca. Major Toczek zdecydował się dosiąść Hamleta, a porucznik Szosland Redgledta. Największe obiekcje miał rotmistrz Królikiewicz; występ na łatwiejszym do prowadzenia, ale niepewnym w skokach Unigeno, czy może nieobliczalnym, trudnym na parcoursie, ale pewniejszym w skokach Jacku? Los powierzył... monecie, która trzykrotnie wskazała na Jacka.

Po ceremonialnej defiladzie jeźdźcy przystąpili do konkursu - jako pierwsi Francuzi. Po zapierających dech w piersiach popisach najgroźniejszych rywali z niepokojem oczekiwano werdyktu sędziów: pięć punktów karnych. Po Francuzach wystąpili Hiszpanie, Kanadyjczycy, Belgowie, Holendrzy. Wreszcie

Polacy, których wyczyny miało śledzić ponad dziesięć tysięcy par oczu; odświętnie ubrana publiczność, ambasadorowie, posłowie, a także liczna Polonia. Również ci, którzy na oczy nie widzieli swej wolnej Ojczyzny. I oni czekali w napięciu i z cichą nadzieją, że polskiej ekipie uda się wywalczyć honorowe, godne polskiej tradycji jeździeckiej miejsce.

Jako pierwszy pojechał major Toczek, wypadł doskonale, z jedną tylko strąconą taktetą, za pół punktu karnego. Jeszcze lepiej spisał się porucznik Szosland, przyjeżdżając parcours bez żadnego błędu. Kolej na rotmistrza Królikiewicza:

Wjeżdżam na Jacku, trzymając „za mordę” to dzikie, rozszalałe zwierzę, które idąc na przeszkodę, szczeka jak pies i tylko patrzy, jakby mi spletać jakiegoś figla. Moja uwaga i nerwy napięte są do granic wytrzymałości. Idąc na drugą przeszkodę, Jacek wyrwał mi się i zabrał ją przodem, co dawało nam 4 punkty karne. Włosy stanęły mi z przerażenia, oczy zalewa silny pot. Reguluję konia i kończę już bez błędu. Mamy łącznie cztery i pół punktu karnego, a więc po pierwszej turze prowadzimy.

I znów major Toczek wyjeżdża jako pierwszy z Polaków. Niestety popełnia błędy, uzyskuje aż 11 punktów karnych. Porucznik Szosland jest lepszy, ale i on kończy z punktami karnymi, zdobywa ich cztery i pół. Cała nadzieja w rotmistrzu Królikiewiczu:

Jacek idzie dobrze. Raz po raz próbuje się wyrwać, lecz pilnuję go jak śmiertelnego wroga. Ryk, wrzask i gwizdy powtarzające się za każdym skokiem podniecają i tak już jego zwariowany temperament. Kończę wreszcie parcours, mając jedno wyłamanie i jedną taktetę, co daje jeden i pół punktu karnego. Zjeżdżam z areny cały mokry z wysiłku.

Z w y c i ę ż y l i ś m y! Mego „śmiertelnego wroga” - Jacka, któremu ślepią zaszyły krwią, głaszczę po szyi jak najmilszą kochankę. Wszystkie drużyny, z polską na czele, wjeżdżają na arenę. Orkiestra gra polski hymn narodowy. Publiczność wstaje. Jadę jakby zmrożony dreszczem wzruszenia. Szalona radość i duma zalewa serce, coś dławi gardło. Patrzę na twarze znajomych Polaków. Ich policzki płoną, usta uśmiechnięte. Wołają coś do nas, przesyłają znaki rękoma. Chwila, której nikt z nas w życiu nie zapomni. Za chwilę dziesiątki milionów dzienników rozniesie po całej Ameryce wieść o zwycięstwie Polski.

Generał Henry T. Allen przypiął naszym koniom niebieskie wstęgi, nam wręczając nagrodę dla Ministerstwa Spraw Wojskowych - ofiarowaną przez Amerykański Jockey Club srebrną tacę, na której przymocowane są cztery podkowy, najlepszych koni wyścigowych, które w 1926 roku zdobyły championat Ameryki. Zwycięstwo! Puchar Narodów w rękach Polski!

Już następnego dnia nowojorski Evening Post tak komentował sukces Polaków:

„Zwycięstwo polskiej kadry wojskowej da się wytłumaczyć jedynie nadzwyczajnym talentem i sprawnością jeźdźców. Polacy odnowili tradycję swego sportu konnego w roku 1920, w kraju zniszczonym i ogołoconym przez inwazję. Ich fenomenalny sukces na arenie zawodów światowych należy przypisać wrodzonemu zamiłowaniu do sportu i do koni. Nieskończona cierpliwość i świetna znajomość psychologii konia wraz z głęboką wiarą i zaufaniem do tego czworonożnego przyjaciela człowieka - uderzają każdego znajdującego się na tym sportowca”.

Powrót kawalerzystów fetowano w kraju, tłumy witały bohaterów na warszawskim dworcu, wiwatom i okrzykom: „Zwycięzcom cześć!” nie było końca, strzelecka warta prezentowała broń, zwycięzców przyjął prezydent Mościcki. Tak zakończyła się pierwsza w historii wyprawa polskiej ekipy do Ameryki.